

A decorative border of light-colored leaves and branches frames the entire cover. At the top center, a small shield-shaped emblem contains the number 2.

2

SARAH SPRINZ

DUNBRIDGE
ACADEMY

Tylko z toba

moondrive

S A R A H S P R I N Z

DUNBRIDGE ACADEMY

Tylko z tobą

TŁUMACZENIE DARIA KUCZYŃSKA-SZYMALA

moondrive

KRAKÓW 2023

Drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy,
powieść ta zawiera wątki, które mogą wywołać silne emocje.
Życzymy Wam wszystkim wspaniałej książkowej przygody.
Wasza autorka i wydawnictwo

*Dla wszystkich tych
którzy zagubili samych siebie.
Nigdy nie będzie za późno,
byście się na powrót odnaleźli.*

„Świat jest teatrem, a ludzie aktorami,
którzy kolejno wchodzą i znikają”.

William Szekspir

PLAYLISTA

two ghosts – harry styles
fuck up the friendship – leah kate
cigarette daydream – cage the elephant
night changes – one direction
partners in crime – finneas
people watching – conan gray
idfc – blackbear
to be so lonely – harry styles
1 step forward, 3 steps back – olivia rodrigo
fool's gold – one direction
always you – louis tomlinson
just fucking let me love you – lowen
moral of the story – ashe feat. niall horan
bored – billie eilish
same mistakes – one direction
entertainer – zayn
favorite crime – olivia rodrigo
all too well (10 minute version) – taylor swift
why won't you love me – 5 seconds of summer
the beach – wolf alice

i want to write you a song – one direction
out of my league – fitz and the tantrums
love story – taylor swift
we made it – louis tomlinson

KTOKOLWIEK

Charles

Siódma klasa

To z Tori pocałowałem się po raz pierwszy w życiu, w ciemnym korytarzu podczas nocnego seansu z horrorami pod koniec września. Valentine Ward z ósmej klasy podmienił planowane DVD bez ograniczeń wiekowych na film od osiemnastu lat, gdy tylko pan Ringling wyszedł sali telewizyjnej. Kiedy ma dyżur, zwykle przysypia w świetlicy i nie ma pojęcia, co tak naprawdę robimy. Tamtej nocy liczę na to, że obudzi go wiatr, który gwiżdże wokół starych murów.

Chciałbym móc stwierdzić, że musiałem wyjść za Tori, bo się przestraszyła, ale prawda jest taka, że to Tori wychodzi za mną, kiedy wstaje po pierwszych dwudziestu paru minutach. To nie tak, żebym się bał. Ani w duchu popłakiwał. Nie, wcale nie. Naprawdę nie.

Rozważam tylko na poważnie, żeby nie spać dziś w internacie, tylko zadzwonić do taty i poprosić go, żeby mnie zabrał. Tyle że w domu w swoim pokoju byłbym całkiem sam.

A na górze w sali sypialnej będę przynajmniej słyszał innych. Henry'ego, który czasem gada przez sen, albo chrapanie Gideon, kiedy leży na plecach.

– Hej.

Obracam się w kierunku przypominającej Tori postaci, która nagle wyrasta przede mną w półmroku. Jest cholerną mistrzynią w podkradaniu się, doskonale to przecież wiem.

– Hej. – Prostuję plecy. – Co tam?

– Wszystko okej? – pyta, a w jej oczach odbija się odrobina światła z klatki schodowej. Podmuch wiatru porusza zasłonami i jej włosami. Wygląda inaczej, kiedy opadają jej swobodnie na plecy. Na lekcjach zawsze ma je splecione albo związane. Deski podłogi skrzypią, kiedy robi krok w moją stronę.

– Tak, ja... Przypomniało mi się tylko, że muszę jeszcze... – *No, niby co?* – Tak właściwie to nieważne. – Przelykam ślinę. Dlaczego nie umiem najpierw pomyśleć, a dopiero potem zacząć mówić?

– Też uważam, że horrory są głupie – oznajmia Tori.

Spinam się. Też... Co to niby znaczy? Kto twierdzi, że ja uważam je za głupie? Uwielbiam horrory. I wcale się nie boję. W takim razie dlaczego nic nie mówię? Siedzę tylko na parapacie i wstrzymuję oddech. Tori stoi przede mną i się nie rusza. Jej oczy, które właściwie są brązowe, wydają się niemal czarne. Serce mi podskakuje, kiedy się zbliża. Staje prawie między moimi kolanami. Niemal czuję brzoskwiniowy zapach jej szamponu. Pochyla się i chyba mnie całuje.

Ona mnie całuje.

Szybko, krótko, jakby nieporadnie. To mgnienie oka, ułamek sekundy. Mija tak szybko, że nawet nie umiem stwierdzić, czy jej wargi są miękkie. Czy są takie, jak to sobie wyobrażałem. Szczerze wątpię, czy to się rzeczywiście wydarzyło, ale mój przyspieszony puls wydaje się o tym przekonany.

Tori się cofa, a ja unoszę dłoń, by dotknąć swoich ust. Słyszę szum tętna w uszach i pragnę, żeby zrobiła to jeszcze raz.

Chcę chwycić ją za nadgarstek i przyciągnąć do siebie. Ale nie odważam się. Bo ona jest moją najlepszą przyjaciółką. Najlepszą przyjaciółką, którą chcę całować i... Do jasnej cholery. Chcę ją całować. Chcę tego. Nie chcę być dla niej kimkolwiek, chcę być dla niej wszystkim.

Wstaję, żeby ją chwycić, ale akurat w tym momencie z sali telewizyjnej dobiegają przytłumione krzyki i śmiechy. Wzdrygamy się jednocześnie, podmuch wiatru zatrzaskuje okno obok mnie, gdzieś z hukiem zamykają się drzwi.

Kiedy przenoszę wzrok z powrotem na Tori, wygląda jak blade widmo. Oczy ma wielkie i przestraszone. Przygryza wargę i dopiero potem się odzywa.

- Przepraszam, ja...

- Nie - rzucam szybko i robię krok w jej stronę. Czy ona tego żałuje? Czy to dlatego, że nie zareagowałem, nie wspominając o odwzajemnieniu pocałunku? Powinienem był...

- Hej! - Głos Valentine'a Warda sprawia, że się odwracam. Nadchodzi od strony toalet. - Migdalicie się?

Tori przesuwam po mnie wzrokiem, jej spojrzenie jest niczym palący policzek. A potem odwraca się i śmieje się gorzko i nerwowo.

- Hm... Nie? Sinclair się boi.

Oczywiście. Charles Sinclair, który nigdy nie ma odwagi, który zawsze robi wszystko źle.

- Wcale się nie boję - mówię, ruszając za nią.

Skąd mogłem wiedzieć, że to będzie pierwsze kłamstwo z nieskończenie wielu, które sobie powiem?

ROZDZIAŁ 1

Victoria

– Co ty tam tak długo robiłaś?

Uśmiechnij się. On nie ma nic złego na myśli. A nawet jeśli, to nieważne.

– Musiałam poprawić makijaż – odpowiadam najbardziej obojętnym tonem, jak potrafię, i prostuję ramiona. W głowie słyszę głos matki.

Jeśli chcesz nosić suknię tego kalibru, to musisz trzymać się prosto. Ramiona do tyłu, głowa wysoko.

Wiem, jak to działa. Miałam dość sposobności, żeby poćwiczyć na takie okazje jak bal noworoczny w Dunbridge Academy. Valentine też, w końcu nazywa się Ward, lecz choć podchodzi do niego, nie podaje mi ramienia. Nawet na mnie właściwie nie patrzy, tylko zwraca się do swoich kolegów z dwunastej klasy. Śmieją się i rozmawiają, rzucają żartami, których nie rozumiem, a jednocześnie palą, a mnie do płuc wpada lodowate powietrze. W tle słychać przytłumioną muzykę z sali balowej. Uczniowie i uczennice stoją w niewielkich grupkach na brukowanym placu między starymi budynkami z ciemnej cegły.

Drogie garnitury, oszłamiające suknie balowe, lśniące bransoletki i kolczyki warte tyle co samochód, zegarki, tak ekskluzywne i kosztowne, że nosi się je tylko przy takich okazjach. To jeden jedyny wieczór w roku, kiedy Dunbridge Academy rzeczywiście godne jest miana elitarnego internatu. Dosłownie czuć zapach bogactwa. Trochę jak podczas kolacji i imprez, na które zabierają mnie czasem rodzice.

Patrzę na otwarte skrzydła drzwi, przez które wyszłam. Przed chwilą było mi o wiele za gorąco, ale chłód tu na zewnątrz przypomina, że jest połowa stycznia. Moja suknia w kolorze piasku sięga ziemi i ma obcisłe rękawy, jednak cieniutka satyna w ogóle nie grzeje. Czuję gęsią skórę na karku. Drżąc, krzyżuję ramiona i podchodzę do Vala. Wycięcie na plecach sukni wygląda bardzo efektownie i dla niego zdecydowałam się akurat na nią, lecz teraz żałuję, że nie wybrałam czegoś cieplejszego. Powinnam wracać. Nie palę i mogę poczekać w ciepłe, aż Val wróci. Albo mógłby mi zaproponować swoją marynarkę, ale to najwyraźniej w ogóle nie przychodzi mu do głowy.

Bolą mnie stopy, jestem zmęczona, a nie wybiła nawet północ. *Ogarnij się, Belhaven-Wynford. W zeszłym roku o wpół do drugiej byłaś jeszcze na parkiecie i przeżywałaś noc swojego życia.* Czy ja się starzeję i to przez to? A może to dlatego, że wtedy z Sinclairem, Henrym i Olive i pozostałymi bawiłam się o wiele lepiej? Gdzie oni w ogóle są? Nie wygląda na to, żeby Valowi mnie brakowało, jeśli pójdę na chwilę do znajomych. Już mam ruszać na ich poszukiwanie, kiedy widzę, że z foyer wychodzą na zewnątrz kolejne osoby.

Sinclair wsunął obie dłonie do kieszeni ciemnych garniturowych spodni, jest pijany. Rozpoznaję to po jego postawie, nawet w przytłumionym świetle latarni i żelaznych koszy z żarem, które rozstawiono na zewnątrz. Migoczący blask na murach wewnętrznego dziedzińca i pałacy wzrok mojego najlepszego przyjaciela, który natychmiast kieruje na mnie. Jestem przyzwyczajona do Sinclaira w granatowym stroju szkolnym

Dunbridge Academy. Z całego serca nienawidzi tamtej marynarki i prawie zawsze nosi ją tylko zarzuconą na ramiona, ale czarny garnitur, do którego dobrał sobie skórzane buty i białą koszulę, leży jak ulal na jego szczupłym ciele. Nie wiem, co zrobił ze swoimi jasnymi włosami, ale dziś opadają mu na czoło wyjątkowo swobodnie. Powinien być mi wdzięczny, że odradziłam mu wizytę u fryzjera tuż przed bale. Po niej zawsze przypomina świeżo ostrzyżonego pudła. Ale dziś wieczorem wygląda dobrze i nawet nie ma o tym pojęcia.

Emma, która idzie za nim razem z Henrym, macha do mnie, kiedy mnie zauważa. Wyswobadza się spod ramienia Henry'ego, którym ten ją obejmuje, i podbiega do mnie. Jestem pewna, że nikt nie wyglądałby w tej obcisłej ciemnoniebieskiej sukni tak pięknie, jak ona. Emma jest najbardziej wysportowaną, a jednocześnie elegancką osobą, jaką znam, a wraz z Henrym, który może nosić, co chce, a i tak wygląda jak cholerny książę, wyglądają jak najprawdziwsza power couple.

- Zaraz wracam - rzucam i odwracam się od Vala i chmury dymu, która akurat sunie w moją stronę. Trochę mi niedobrze, i to chyba nie tylko od papierosów. Przez cały dzień czuję jakieś dziwne napięcie, które sprawiło, że podczas kolacji prawie nic nie tknęłam. Czekam ciągle, aż to zdenerwowanie minie i będę mogła cieszyć się bale.

- I jak nastrój, przyjaciele nocy?

To zdumiewające, jak umiem udawać dobry humor, choć tak naprawdę jestem w środku jak odrętwiła. Tłumiąc dygotanie, czuję na sobie ciężkie spojrzenie Sinclaira. Wyjmuje ręce z kieszeni spodni, a ja wiem, że są ciepłe. Ale nie podchodzę do niego i nie pozwalam się objąć, jak to często robimy, bo przecież przyjacielski dotyk nic nie znaczy. Nie ruszam się, Emma coś mówi, lecz treść jej słów do mnie dociera. Sinclair unika mojego wzroku. Próbuję się uśmiechnąć, ale jest ciężko, bo nie mogę przestać myśleć o tym, dlaczego od jakiegoś czasu jest między nami jakoś dziwnie. Dlaczego czuję się

jak zdrajczynie z tego powodu, że jestem tutaj z Valem i spędzam ten wieczór z nim i jego przyjaciółmi, a nie z własnymi. Przecież Sinclair, w przeciwieństwie do Vala, nie zapytał mnie, czy pójdę z nim na bal. Czekalam na to jak co roku, bo przed balem noworocznym wszelki feminizm wietrzeje mi z głowy i w głębi duszy pragnę być zaproszona tak, jak bohaterki książek. Przez *niego*. Sinclaira. Oczywiście na wpół żartobliwie, jako najlepsi przyjaciele, nawet jeśli inni to sobie będą interpretować po swojemu. Ale Sinclair mnie nie zaprosił. Oczywiście, że nie. Zaprosił Ellie Inglewood, która pochwaliła się tym swoim przyjaciółkom. Sinclair zatańczył z nią teraz parę razy, ale poza tym trzyma się Henry'go i reszty. Zwykle szłam na bal z Gideonem albo Omarem. Z kimś, kogo lubię i dobrze znam. Tak dobrze, że mogę mieć pewność, że niczego ode mnie nie będzie chciał. Tja, ale w tym roku nie jest tak jak zwykle, bo przyszłam z Valem, który na pewno czegoś ode mnie chce. To mi się przecież właśnie w nim podoba. Że mnie pragnie. Kto nie chciałby być pożądanym przez Valentine'a Warda, kapitana drużyny rugby i nieoficjalnego króla Dunbridge Academy?

Emma wachluje się dłonią i chichocze, a więc i ona jest najprawdopodobniej wstawiona. Henry pochyla się i całuje ją. To jedyna rzecz, która przeszkadza mi w noworocznym balu. Alkohol – co roku wypijany potajemnie w ogromnych ilościach.

Zerkam na Sinclaira, który zdejmuje marynarkę. Między brwiami robi mu się pionowa zmarszczka, kiedy mi ją podaje. Waham się.

– Marzniesz – rzuca krótko. Mówi chłodnym tonem, ale jednocześnie w jego jasnych oczach jest coś, co sprawia, że miękną mi kolana.

Zanim zdążę pomyśleć o przyjęciu marynarki, czuję na ramionach czyjeś ciężkie objęcie.

– Wracamy do środka?

Wyczuwam alkohol w oddechu Vala i mam ochotę odwrócić głowę, jednak zmuszam się, by tego nie robić. Rozzłości się,

jeśli teraz urażę go na oczach przyjaciół. Jest na tym punkcie drażliwy, wiadomo. I ma swoje powody, choć wolałabym, żeby się przede mną w tej sprawie bardziej otworzył. Ale odkąd spędzamy ze sobą więcej czasu, na palcach jednej ręki mogłabym policzyć, ile razy Val wspomniał o swojej siostrze. Jego stosunek do niej wcale się nie poprawił, odkąd kilka lat temu opuściła Dunbridge Academy, żeby rozpocząć studia na Oksfordzie.

- Chętnie.

Kiwam głową, a Sinclair z powrotem wkłada marynarkę. Jego usta tworzą wąską linię, tak mocno je zacisnął.

- Gdzie podziałeś Ellie? - pyta Val tym swoim pogardliwym tonem, na który Sinclair reaguje alergicznie. - Poszła już spać czy bawi się z koleżankami z piaskownicy?

- Val - mamrocze uspokajająco i próbuje odciągnąć go na bok. To jedno naprawdę mnie denerwuje. Że on i Sinclair ciągle na siebie napadają i toczą te swoje zbędne przepychanki.

Sinclair zaciska dłonie w pięści.

- Zamknij się, Ward!

- Nie tak ostro, dobra? - mówi Val i robi krok w jego kierunku. Jest wyższy od Sinclaira i choć nie sędzę, by byli tak niedojrzali, żeby rzeczywiście zacząć się bić, to robię się niespokojna.

- Tak? Bo co? - rzuca przez zaciśnięte zęby Sinclair. - Bo twój zasrany wujek się dowie? Szkoda, że już tutaj nie uczy.

- Uważaj, co mówisz.

- Val... Chodźmy.

Ciągnę Valentine'a za ramię, ale on strąca moją dłoń.

- Czy twoja matka wie, że się upijasz na balu noworocznym? - pyta.

- Nie, ale z radością się dowie, skąd się tu wziął alkohol.

- Wal się, Sinclair - warczy Val.

Wzdycham cicho, kiedy w końcu daje się stamtąd odciągnąć. Źle się czuję, że idę z nim do wejścia i zostawiam Sinclaira i pozostałych.

– Sorry – mruczy Val, gdy już nie mogą nas usłyszeć. – Wiem, że to było niepotrzebne i że to twoi przyjaciele.

Otwieram usta, ale jestem zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek powiedzieć. A już szczególnie coś, co byłoby na miejscu.

– Nie szkodzi.

Czyżby? To, jak odnosi się do moich przyjaciół, nie jest w porządku. Ale najwyraźniej sam to dostrzega. I wydaje się mieć wyrzuty sumienia, kiedy wsuwa ręce do kieszeni spodni.

– Tu jest tak samo beznadziejnie, jak na tych żalonych galach mojej matki – mówi i zatrzymuje się. – Wszyscy przychodzą tylko po to, żeby ich widziano.

Kiwam głową i myślę o imprezach Veroniki Ward, na które moja rodzina jest regularnie zapraszana. Villa rodziny Vala znajduje się niecałe czterdzieści pięć minut drogi od mojego rodzinnego domu. Nasi ojcowie grają razem w golfa albo w towarzystwie naszych matek biorą udział w biznesowych kolacjach. Mama Vala to gruba ryba w nieruchomościach, natomiast moja, jako właścicielka galerii, zaopatruje klasę wyższą w obrazy, których wartość przekracza niekiedy koszt domu jednorodzinnego. Często pracują razem. Można by wręcz powiedzieć: ręka rękę myje. Prawda jest taka, że w naszych kręgach ceni się własne towarzystwo.

Nazwisko Ward znaczyło coś dla mnie już w dzieciństwie. Podobnie musiało być z Valentinem i nazwiskiem Belhaven-Wynford. Nie było wątpliwości, że spotkamy się w Dunbridge Academy, to przecież internat dla brytyjskich wyższych sfer, które umożliwiają swojemu potomstwu zdobycie pierwszorzędnej wykształcenia. Złe języki twierdzą, że szkoła praktycznie nas też wychowuje, ale trudno mi to osądzać, bo nie znam niczego innego. Gdybym była postacią z jednej z moich ulubionych powieści, powinnam z zasady gardzić życiem w elitarniej bańce, ale prawda jest taka, że doceniam to, co mama i tata umożliwiają mi i Williamowi. Nie do pomyslenia byłoby tego nie doceniać, nawet jeśli ciąży mi czasami presja, jaką

wywierają towarzyskie wpływy mojej rodziny. Oprócz mojego brata Val jest jedyną osobą, z którą mogę o tym porozmawiać. Zwykle cieszy mnie to, że moi przyjaciele nie mają z tym nic wspólnego. Choć wszyscy pochodzą z zamożnych domów, to realia życia mojej rodziny są im bardzo dalekie.

– Możemy już w ogóle pójść – proponuję. Moja cicha nadzieja ulatnia się, kiedy Val potrząsa głową. To byłoby zbyt piękne, gdybym mogła zrzucić już te szpilki.

– Nie, nie, w porządku – mówi. – Poza tym wyglądasz zbyt seksownie, żebyśmy się mieli zwinąć. Niech mi inni jeszcze trochę pozazdroszczą.

Robi mi się gorąco. Inni... Czyli Sinclair. Choć nie sądzę, żeby mój najlepszy przyjaciel był zazdrosny o Vala. Mnie też jest przecież obojętne, że podoba mu się Eleanor z dwunastej klasy. Zupełnie obojętne.

– Jak wolisz – odpowiadam.

Val się uśmiecha, a nie jest to częsty widok. Zwykle jego twarz ma równie surowy wyraz, co jego brązowe oczy. Rysy twarzy ma nie z tej ziemi. Valentine Ward, zabójcze, naprawdę zabójcze kości policzkowe i klasyczny nos, który sprawia, że wygląda jak dumny, grecki bóg. Jest naprawdę przystojny, szczególnie gdy ma na sobie idealnie dopasowany ciemny garnitur, który podkreśla perfekcyjnie szerokie ramiona. Valentine Ward jest wysoki i szczupły, ale umięśniony. Dokładnie taki, jaki powinien być kapitan drużyny rugby elitarnej szkoły z internatem.

Przyklada dłoń do moich łędźwi.

– Słyszałem, że będziesz u nas w przyszły weekend na kolacji – mówi, kiedy ruszamy.

– No to wiesz więcej ode mnie – odpowiadam. – O niczym nie wiem.

– Moja mama chce, żebym tam był. Pomyślałem, że może miałabyś ochotę potowarzyszyć swoim rodzicom. To uczyniłoby ten wieczór znośniejszym.

Waham się. To nie tak, żeby moi rodzice nie wiedzieli, że się z Valem zbliżyliśmy, jak to mawia mama. Ale to byłby pierwszy raz, kiedy wystąpilibyśmy przed nimi jako para. O ile w ogóle nią jesteśmy. Parą... Nie mam zielonego pojęcia i też nie chciałabym naciskać. Wybraliśmy się razem na bal noworoczny, a to może znaczyć i wszystko, i nic. Kiedy Val przed feriami świątecznymi zapytał mnie, czy z nim pójdę, w pierwszej kolejności pomyślałam o Sinclairze. A dopiero potem się ucieszyłam. Val naprawdę się postarał. Był ze mną w księgarni Opowieści z Ebrington, choć wiem, że uważa książki za nudne, a potem piliśmy w Blue Room Café gorącą czekoladę i wtedy mnie zaprosił. Dobrze zrobiłam, że się zgodziłam, chociaż potem pół nocy nie mogłam spać i wyobrażałam sobie minę mojego najlepszego przyjaciela, kiedy się o tym dowie.

- Porozmawiam z nimi - rzucam. - Pippa też będzie?

Rysy twarzy Vala twardnieją, kiedy kręci głową. Nie lubi wspominać o swojej siostrze. Philippa Ward ukończyła Dunbridge Academy cztery lata temu i uzyskawszy trzy stypendia, rozpoczęła studia prawnicze w Oksfordzie. Jest niezwykle zdolna, to chluba rodziny. Nie żeby rodzice Valentine'a nie byli dumni także z niego, ale bardzo im zależy na wynikach w nauce swoich dzieci. A Val akurat nie błyszczy ocenami. Odkąd jego wuj nie uczy już w naszej szkole, wypada nawet jeszcze gorzej.

- Nie, ma egzaminy - odpowiada krótko i cofa rękę. Wspornale. Za każdym razem czuję ukłucie w piersi, kiedy tak się przede mną zamyka, zamiast okazać jakieś uczucia. Wmawiam sobie, że snie miał się tego gdzie nauczyć. Veronica i August Ward może nie mają serc z lodu, ale nie przypominam sobie, żeby się wykazywali szczególną serdecznością.

- Poczekaj - mówi Val i zerka wokół, a potem zdecydowanym krokiem rusza do szatni, która znajduje się z boku foyer. W mało widocznym zakątku dostrzegam Ciliana, który właśnie

pochyla się na stołem. Robi mi się zimno, gdy uświadamiam sobie, co tu robią.

Zawsze uważałam, że to plotka, że maturzyści biorą koks, ale najwyraźniej była to z mojej strony naiwność. Zatrzymuję się, ale Val podchodzi do innych. Z sali wychodzi paru ósmoklasistów, którzy obrzucają nas podejrzliwymi spojrzeniami. Mam nadzieję, że nie zobaczy nas żaden nauczyciel. Delikatnie przygryzam wargę, kiedy się rozglądam.

– Tori – w głosie Vala pobrzmiwa pytanie. Kiedy się do niego odwracam, wyzywająco unosi brwi.

Szybko kręcę głową.

– Nie, dziękuję.

Dziękuję... Chyba nie mogło wypaść gorzej.

– No weź. – Cilian zerka na mnie.

– Nie chcę – odpowiadam najbardziej zdecydowanym tonem, na jaki mnie stać.

– Jesteś Belhaven-Wynford, nie udawaj. Przecież biała dama należy do towarzystwa.

– Już dobrze – co zadziwiające, Val staje po mojej stronie. W jego głosie pobrzmiwa coś, co sprawia, że Cilian natychmiast milknie. Rzuca mi jeszcze lekceważące spojrzenie, a potem się odwraca.

– Przepraszam – mówi w moim kierunku Val. – Zwykle tego nie robię, ale ostatnie tygodnie były naprawdę przerąbane.

Kiwam tylko głową w dziwnej ciszy, która nagle zapada, a Val nachyla się nad stołem i przykłada sobie palec do nosa. Nie wygląda, jakby to robił pierwszy raz. A mnie się to nie podoba. Wcale mi się nie podoba. Jakby nie dość było, że wszyscy piją, ale może jestem przewrażliwiona. W sumie to nawet Vala rozumiem. Odkąd jego wuj musiał opuścić Dunbridge Academy, nie jest mu łatwo. Za mniej niż osiem tygodni rozpoczną się egzaminy maturalne dwunastoklasistów, a Val... no cóż, zapewne liczył na jego wsparcie. Mnie daleko do kujonki, ale oceny mam dość solidne. Kiedy ostatnio zaproponowałam

Valowi, że możemy się razem pouczyć, nie przyjął tego najlepiej. Pokłóciliśmy się, a on spędził popołudnie z ciężarami i na wioślarzu w siłowni internatu. Postanowiłam, że więcej nie będę się wtrącać.

Val znów się prostuje. Ociera sobie nos grzbietem dłoni i na moment odchyła głowę do tyłu. Drżą mu nozdrza, kiedy wciąga powietrze.

– Wszystko okej? – pytam cicho, kiedy po chwili obejmuje mnie ramieniem.

Kiwa głową, nie patrząc mi w oczy.

– Chcesz zatańczyć?

Waham się, bo gdybym miała być szczerą, to najchętniej poszłabym do Sinclaira, Emmy i reszty. To pierwszy bal noworoczny, którego nie spędzam ze swoimi przyjaciółmi. Ale jest też pierwszym, na który wybrałam się z chłopakiem. I tego właśnie chciałam. Zmuszam się do uśmiechu.

– Owszem.

Val popija dżin z butelki, którą podaje mu Cilian, a ja czuję skurcz w żołądku. Potrząsam głową, kiedy Val wyciąga ją ku mnie.

– Może później.

Kłamczucha.

Val nic nie mówi, ale przewraca oczami, kiedy ponownie przystawia sobie butelkę do ust. A może mi się tylko wydaje.

Kiedy wchodzimy do sali balowej przez duże skrzydłowe drzwi, wita nas głośna muzyka. Rozpoznaję piosenkę po pierwszych taktach. *Thinking Bout You* Ariany Grande. Parkiet jest wypełniony, cekiny i kryształowe żyrandole migoczą. Serce leciutko mi podskakuje, kiedy Val podaje mi ramię, gdy schodzimy po kilku kamiennych, szerokich schodkach przy wejściu. Gdy na niego zerkam, wygląda już łagodniej. Światło pada na jego twarz, rzuca cienie na ostre rysy. Jestem na balu noworocznym z Valentinem Wardem. Naprawdę.

I wszyscy patrzą. Czuję na sobie ich spojrzenia, kiedy wchodzimy. Val cały czas trzyma mnie pod rękę. Prowadzi mnie na środek sali, mijając ludzi, którzy rozmawiają, stojąc przy barowych stolikach rozstawionych na wokół parkietu. Młodzi uczniowie szturchają się wzajemnie i ukradkowo na nas wskazują.

Czuję się trochę jak we śnie, kiedy Val odwraca się do mnie i przykładą mi dłoń do pleców. Wyczuwam jego mięśnie, kiedy kładę rękę na jego ramieniu. To krótka chwila, ale przypomina mi się nagle Sinclair i kurs tańca w ósmej klasie. Kiedy okazało się, że biceps mojego najlepszego przyjaciela jest zaskakująco twardy i że nie jestem w stanie go dotykać, nie czując dziwnej słabości. I kiedy pan Acevedo omal nie wyrzucił nas z zajęć, bo za każdym razem śmialiśmy się histerycznie i myliliśmy kroki. To wspomnienie razi mnie niczym prąd, kiedy ponad ramieniem Vala patrzę w kierunku wejścia. Prosto w pozbawioną wyrazu twarz Sinclaira. Opiera się o poręcz obok drzwi. Emma i Henry obściskują się bezwstydnie, a Gideon stoi obok nich i coś mówi. Ale Sinclair nawet nie udaje, że go słucha. Patrzy w dół. Na mnie i na Vala, a jego spojrzenie trafia prosto w moją duszę.

– Hej, tu gra muzyka!

Odwracam głowę do Vala. Jego uśmiech nie pasuje do ostrego tonu. Czy zauważył Sinclaira i pozostałych, czy to miał być żart? Szukam w jego twarzy oznak irytacji, ale ich nie znajduję.

– Przepraszam. – Uśmiecham się.

Val przyciąga mnie bliżej.

– Dobrze się bawisz? – pyta.

Automatycznie przytakuję.

– Tak, bardzo dobrze.

– Ach, Tori... – Wzdycha, kręcąc głową, kiedy poruszamy się w takt muzyki. – Co ja robię źle?

– To znaczy? – odpowiadam natychmiast. – Jest cudownie, naprawdę.

– Wolałabyś być z kumplami?

Czy to aż tak widać? Muszę się bardziej postarać.

– Nie. Jestem tutaj z tobą.

– To prawda – odpowiada Val. Nagle patrzy mi w oczy.

Nie krótko, przelotnie, tylko naprawdę głęboko, aż mnie to paraliżuje. Czy teraz mnie pocałuje? W powieściach i filmach to byłby dobry moment. Parkiet, ciasne objęcia. Odchylić głowę, zamknąć oczy. Ratunku.

Nie wiem, czy Val wyczuwa moją panikę. Cofa się lekko, unosi ramię, a ja się obracam. Kiedy potem mnie do siebie przyciąga, czuję jego dłoń niżej niż wcześniej. Przenika mnie nerwowy dreszcz. Przez całe ciało, od czubka głowy po kończuszki palców stóp. Jest tak, jakbym każdy jego dotyk odczuwała po wielokroć. Piosenka kończy się i dzieje się to, co w tych wszystkich nudnych filmach o liceach. Zaczyna się wolny kawałek. Val przykładá obie dłonie do moich pośladków i przysuwa mnie do siebie.

– Ostrożnie, przyjacielu.

Nie wiem, skąd się nagle bierze, ale zanim się zorientuję, Eleanor Attenborough poprawia dłonie Vala. Czyli przesuwá je sporo wyżej.

– Uważasz się chyba za dżentelmena, co? – Posyła mu całusa, kiedy oburzony otwiera usta. I omiata mnie wzrokiem, jakby dokonywała oceny. Ale to nie jest onieśmielające spojrzenie, tylko bardzo uważne. Jakby pytała: Czy to, co się dzieje, jest dla ciebie okej?

Odwraca się dopiero, gdy niepewnie się uśmiecham i znikam w tłumie.

– No nie... – mruczy Val, a potem ją naśladuje: – Ostrożnie, przyjacielu... Cholera, ona jest zazdrosna, czy co?

Nic nie odpowiadam. Możliwe, że Val widzi to inaczej, ale dla mnie to nie wygląda, jakby Eleanor po nim płakała. Ile oni w ogóle ze sobą byli? Najwyżej dwa miesiące – oczywiście to

wystarczająco długo, żeby każdy w Dunbridge Academy się o tym dowiedział. Tak to już tutaj jest.

– Moim zdaniem kompletnie jej odbiło. – Nie zdążam zareagować, bo Val bierze mnie za rękę i pociąga za sobą. – Zresztą wszystko jedno, spadamy stąd.

Mam przeczucie, że niedobrze byłoby mu się sprzeciwić, więc idę za nim. Val wydaje się dzisiaj jakiś podminowany. Przed chwilą chciał przecież tańczyć, a nie wyjść. Czy to przez kokainę? W takim razie chyba nie powinien być teraz sam, prawda?

Sinclaira, Gideona, Emmy i Henry’ego nie widać, gdy wchodzimy po schodach do drzwi. Kumpli Vala w foyer też nie. Kiedy wychodzimy na zewnątrz, nie patrzy na mnie, tylko wyciąga komórkę z kieszeni.

– Pewnie są za salą gimnastyczną – mruczy i się waha. – Zimno ci?

Serce mi podskakuje, kiedy zdejmuje marynarkę i mi ją podaje. Czyli jednak, myślę sobie. A potem: o, Boże, Valentine Ward dał mi swoją marynarkę. Jest oczywiście za duża i to bardzo mi się podoba.

– Pójdziemy do nich? – pyta.

Kiwam głową.

– Pewnie.

– A może wolisz pójść do swoich znajomych?

Pyta o to bez wyrzutu w głosie, lecz jego wzrok wydaje się pełen wyczekiwania, gdy na mnie patrzy. Jest tylko jedna prawidłowa odpowiedź, wiem to.

– Nie. – Potrząsam głową. Tym bardziej, że nawet nie wiem, gdzie oni teraz są. – Chodźmy.

Val uśmiecha się tym uśmiechem, przy którym unosi mu się tylko kącik ust. Jest taki przystojny.

– Wiedziałem, że podejmiesz słuszną decyzję – mówi. Skręcamy za róg, a on przyciska mnie nagle do ściany. Jest ciemno, a ja mam na sobie jego marynarkę. Serce mało nie wyskoczy

mi z piersi. – Victorio Belhaven-Wynford, jesteś za fajna na tych swoich koleżków z jedenastej klasy, mówił ci to już ktoś kiedyś?

– Ty jesteś pierwszy.

Val uśmiecha się pod nosem.

– Serio?

A potem mnie całuje.

Robi to jednym płynnym ruchem, a ja zupełnie się tego nie spodziewam. Przez materiał marynarki czuję chłód ściany i swoje przyśpieszone tętno tuż pod ustami Vala.

Oddychaj przez nos. Zamknij oczy. Tak piszą w powieściach. Boże, nawet bohaterki, które robią to po raz pierwszy, dają jakąś radę. Mają to we krwi. A to przecież nie jest mój pierwszy pocałunek. Okej, pierwszy prawdziwy, ale gdy zamykam oczy, widzę Sinclaira na parapecie, jak jasne włosy opadają mu na oczy, kiedy oboje jednocześnie się odsuwamy.

Val obejmuje moją głowę dłońmi i przyciąga mnie bliżej. Nie pyta, czy tego chcę. Bierze mnie w posiadanie, jakby jedynym istotnym zadaniem kobiety było oddanie mu się. Książki nauczyły mnie, że to romantyczne, ale właściwie to czuję się zagrożona. Jakby to było wezwanie do czegoś, do czego tak naprawdę wcale nie jestem gotowa.

Nie cofam się, bo nie mam jak. I jakaś część mnie napawa się tym, co się właśnie dzieje. Czuję motyle w brzuchu i miękną mi kolana.

Wzdrygam się, gdy ktoś się zbliża. Val nie zwraca na nich uwagi. Wsuwa mi nogę między uda, a moje ciało przenika dreszcz. Tętno jeszcze mocniej mi przyśpiesza. Całuję go.

A mój najlepszy przyjaciel na to patrzy.

Spojrzenie Sinclaira jest puste i trafia mnie do samej głębi. Mija ułamek sekundy, a on się odwraca. Stłumiony dźwięk, który z siebie wydaję, sprawia, że Val przerywa.

Kiedy się odsuwa, jego wargi lśnią, a źrenice są rozszerzone. W jakiś podniecający sposób budzi we mnie lęk.

- Jestem pierwszy? – powtarza pytanie.

Nie wiem, co chce usłyszeć. Czy spodobałoby mu się, gdyby tak było? Pocałunek z Sinclairem wtedy w siódmej klasie tak naprawdę się nie liczy. To był tylko żart. Kiwam głową. Mam sucho w ustach.

ROZDZIAŁ 2

Charles

Ona go całuje.

No i co mam powiedzieć? Czuję się strasznie.

Tori całuje Valentine'a Warda. Albo to on całuje ją, nie mogę się już nad tym dłużej zastanawiać, bo zwariuję. Czuję w środku jedynie palącą i paraliżującą rozpacz, która podchodzi mi do gardła, bez względu na to, ile razy napilbym się tego cholernego dżinu.

Tori może robić, co chce, ale czy naprawdę musi się to odbywać na moich oczach? Nie powinienem był w ogóle iść na ten bal. To śmieszne. Ellie Inglewood już dawno się zwinęła, żeby ze swoimi przyjaciółkami nagrywać niemile filmiki na TikToka. Z pewnością obgadują mnie, że jestem taaaki nudny. Nie podjąłem nawet próby, żeby ją pocałować, a z pewnością na to liczyła. Wszyscy tak mnie właśnie widzą. Pewny siebie Sinclair, który wie, czego chce i to sobie bierze. Trzyma gumki w szafce, ale tak naprawdę nigdy się nawet nie zbliżył do okazji, żeby ich użyć. Prościej jest skrywać się za bezczelnymi słowami i dwuznacznymi komentarzami, niż przyznać się, kim się

naprawdę jest. Kimś, kto się nigdy nie całował. No może nie do końca, ale do niczego wtedy z Tori poza tamtym pocałunkiem niestety nie doszło. Nic dziwnego, że woli obściskować się z Valentinem Wardem, bo on najwyraźniej i w przeciwieństwie do mnie wie, co robi.

– Może byś tak na chwilę przestał żłopać, co? – pyta Gideon.

A niech się zamknie. Sam jest pijany, choć może nie tak bardzo jak ja. No i co? To jest bal noworoczny. Wszyscy wiedzą, że chlejemy i nikogo to nie interesuje. No dobra, są tacy ludzie jak Henry, którzy są trzeźwi jak świnię. Spija każde słowo z ust Emmy, jakby była jedyną dziewczyną na świecie. Nie żebym żałował swojemu najlepszemu kumpłowi, ale ostatnio wszystko mnie wkurza.

– Nie – odpowiadam i ignoruję to, że Gideon kręci głową. – Wracamy do środka?

– No stary, nie wiem, czy to dobry pomysł. Jeśli nauczyciele zobaczą nas w takim stanie...

– Przecież oni wszyscy są ululani.

– Twoja mama na pewno nie.

Wydaję z siebie mimowolny jęk. Okej, moja matka – a jednocześnie dyrektorka Dunbridge Academy – rzeczywiście nie powinna tego widzieć. To, że jestem jej synem, nie zwalnia mnie niestety z zasad obowiązujących w tej szkole. Wręcz przeciwnie. Czasem mam wrażenie, że mama jest dla mnie wyjątkowo surowa, żeby nikomu nie przyszło do głowy zarzucać jej, że daje mi fory. Reguła zero promili, która obowiązuje wszystkich poniżej osiemnastki, dotyczy także mnie. Jeśli nas przyłapią, będziemy ugotowani. Upomnienie, które Henry, nasz mistrz, ściągnął na nas swoim jak najbardziej zrozumiałym pijaństwem po śmierci swojej siostry, przestało już na szczęście obowiązywać wraz z nowym semestrem w styczniu, ale to nie znaczy, że trzeba znowu podpaść.

Chyba jednak sporo wypilem, bo nagle znajdujemy się w starej szklarni. Nie pamiętam, jak się tu dostaliśmy. Ale nie

zapomniałem, jak Valentine Ward przyparł Tori do muru. Mdl mi tylko na samą myśl, że jej dotyka. Dlaczego ona na to pozwala? On jest obrzydliwy, a ona jest dla niego o wiele za bystra.

Wciąż piję. Nawet mnie już nie pali w gardle. Za to kręci mi się trochę w głowie, gdy zamykam oczy, ale nie jest jakoś bardzo źle. Chętnie bym się położył. Tak, to dobry pomysł.

Ktoś próbuje mnie przytrzymać, słyszę jakieś głosy i brzęk szkła. Okej, trochę mi niedobrze, ale jakoś mi to obojętne. Twarz Henry'ego wyostrza się na chwilę nade mną. Mówi coś i odwraca wzrok. Która to w ogóle godzina? Może się prześpię. Takie mam zmęczone oczy. I głowę, i serce też. Przeklęty Valentine. Naprawdę go nienawidzę. Tori także. Dlaczego ona jest taka ładna? Teraz też. Jej twarz się odwraca, ale chcę ją uchwycić. Chcę jej powiedzieć, że ją kocham, ale tego nie można zrobić, nie psując jednocześnie wszystkiego. Tego całego gównianego bycia najlepszymi przyjaciółmi. To takie frustrujące. Pewnie cudownie jest całować tego dupka. Więc to mówię.

- Co, Sinclair?

Jej głos brzmi tak łagodnie. Łagodny głos Tori. Ale to przecież nie ma sensu, no nie?

- Będziesz wymiotować?

Mam nadzieję, że nie. Ale mam też nadzieję na wiele innych rzeczy. Z których niewiele się spełni, to wiadome. Ale palce Tori w moich włosach są ciepłe, a głowę mam ciężką, taką ciężką. Wydaje mi się, że ona mnie obejmuje.

Żeby tylko sobie nie poszła.

Victoria

Żrenice Vala są rozszerzone, a mnie żołądek skurczył się ze strachu. Może mam paranoję, ale ludzie pod wpływem narkotyków wzbudzają we mnie niepokój. I wydaje mi się, że nie bez powodu.

A mimo to jestem z nim i z paroma innymi dwunastoklasistami na tyłach sali gimnastycznej, gdzie odbywa się nieoficjalne drugie przyjęcie. Bo sam bal jest *lamerski*, a ja nie odważyłabym się przyznać, że wolałabym tam wrócić. Przeczucie podpowiada mi, że powinnam porozmawiać z Sinclairem. Wyglądał nędznie, kiedy patrzył, jak Val mnie całuje. Bardzo nędznie i wydawał się bardzo pijany. A to do niego niepodobne, bo mój najlepszy przyjaciel wie, że ja tego nie znoszę. W przeciwieństwie do Vala, ale nie zamierzam z nim o tym rozmawiać. Powody mojej niechęci do alkoholu i innych używek nie powinny obchodzić ani Vala, ani jego rodziny.

Ktoś ma przy sobie głośnik na bluetooth, z którego dobiega agresywny rap. Val już mnie nie pocałował, rozmawia teraz z przyjaciółmi. Są głośni, a ich śmiech brzmi jakoś groźnie. Nie rozumiem większości z tego, co mówią. Uśmiecham się więc tylko i po raz któryś odmawiam alkoholu, który leje się tutaj strumieniami.

Co się właściwie dzieje, kiedy człowiek bierze koks i do tego pije? Czy to się jakoś składa, czy też powinnam się obawiać, że Val i pozostali zaraz dostaną tutaj zaburzeń rytmu serca i padną bez życia? W każdym razie nie wygląda na to, by to połączenie było dla nich nowością. W pobliżu są też ludzie, którzy wydają się stosunkowo poczytalni. Eleanor Attenborough i jej przyjaciółki na przykład. Stoją parę metrów dalej. Nie mam odwagi do nich podejść, choć przeczucie podpowiada mi, że w ich towarzystwie bawiłabym się lepiej. Ale nie chcę być małą jedenastoklasistką, która tylko wszystkich irytuje.

Val właściwie mógłby ze mną porozmawiać. Nie to, że tylko ze mną, tego wcale nie oczekuję. Ostatecznie to bal noworoczny i on chce się dobrze bawić z kumplami. Zupełnie zrozumiałe. Ale cóż, mógłby mnie też w tym uwzględnić, a nie tak ignorować. Z drugiej strony cieszę się, że nie zaprowadził mnie w jakiś ciemny korytarz, żeby robić coś, na co nie jestem

gotowa. Zaraz bym mu to zresztą jasno powiedziała. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Choć mam na ramionach jego marynarkę, jest mi zimno. Przecież to w końcu styczeń. Większość albo się już przebrała, albo ma przynajmniej kurtki narzucone na stroje balowe.

Może też powinnam skoczyć na górę do pokoju i zarzucić coś cieplejszego – ale jakoś wątpię, żebym wykrzesła tam z siebie ochotę na powrót. Zaczyna mi się wydawać, że jest bardzo późno. Patrzę na komórkę, żeby sprawdzić, która jest godzina, ale wyskakują mi wiadomości od Emmy.

E: Gdzie jesteś?

E: Tori? Wszystko okej? Nie chcę zawracać ci głowy, ale mogłabyś do nas podejść?

T: Jestem z Valem i resztą za salą gimnastyczną. A wy gdzie?

Ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że Emma jest online. Od razu zaczyna odpowiadać.

E: W drodze do skrzydła chłopaków. Henry i Gideon zabierają Sinclaira do łóżka.

Robi mi się trochę cieplej. A nawet wręcz gorąco.

T: Dlaczego?

E: Trochę przesadził z alkoholem...

T: Idę.

Kiedy podnoszę wzrok, Val wciąż jest z innymi i nie interesuje się tym, co robię. Właściwie powinnam się pożegnać, ale może będzie zadowolony, jeśli zostawię go po prostu w spokoju. Wcześniej w jego głosie znów pobrzmiwał ten poirytowany ton, kiedy stałam obok niego przy jego przyjaciółach. Nie rozumiem tego faceta. W jednej chwili wszystko jest cudownie,

a w następnej atmosfera siada, a ja nie mam pojęcia, co tym razem zrobiłam źle. Kiedy spędzamy czas we dwoje, jest inaczej. Czasem wydaje mi się, jakby koniecznie musiał przed przyjaciółmi, a szczególnie przed kumplami od rugby, sprawić takie wrażenie, jakby był pozbawiony uczuć.

Bołą mnie stopy, przeklinam obcasy szpilek Louboutin, kiedy śpieszę ciemną drogą do internatu. Zaraz oddam Valowi jego marynarkę. To na pewno długo nie potrwa, nawet nie zauważy, że mnie trochę nie było, a zanim wrócę za salę gimnastyczną, wezmę sobie szybko coś ciepłego z pokoju. Wokół sali balowej wciąż panuje ożywiony ruch, a ja kieruję się do wschodniego skrzydła. Kiedy kilka razy obcas utyka mi między kostkami bruku, wydaję z siebie pełen frustracji jęk. Zatrzymuję się w krążanku i zdejmuję najpierw jeden but, a potem drugi. Bruk jest lodowaty, ale to akurat błogosławieństwo dla moich obolałych stóp. Poza tym przemieszczam się szybko.

Cisza nocna dzisiaj nie obowiązuje, przynajmniej nas starszych, ale mimo to dziwnie się czuję o tej porze, wbiegając po schodach do sypialni chłopaków. Na piętrze jedenastoklasistów pali się światło. Drzwi do pokoiów Henry'ego i Sinclaira stoją otworem. Kiedy się zbliżam, Henry wychodzi akurat z butelką wody i mokrym ręcznikiem w dłoniach. Przez chwilę ma minę, jakby go na czymś przyłapano, ale zaraz mnie rozpoznaje.

– Ach, jesteś. – Wskazuje głową na pokój Sinclaira. – Kiepsko z nim.

Cisną mi się na usta wyrzuty, kiedy wchodzę za Henrym do środka. *Dlaczego go nie powstrzymaliście?* Myślałam, że w naszej ekipie pilnujemy się nawzajem. Nic jednak nie mówię, bo przecież sama uznałam, że nie muszę być dzisiaj z przyjaciółmi.

W pokoju jest pełno ludzi. Emma stoi ze skrzyżowanymi rękoma i zmartwionym wyrazem twarzy pod ścianą, Gideon

przysiadł obok Sinclaira na łóżku i przytrzymuje go za ramię, żeby nie spadł. Omar zdejmuje mu buty.

Nic nie mówię i jestem spokojna. To nie tak, żebyś widziała coś takiego pierwszy raz, tylko dotąd nigdy nie musiałam zajmować się w ten sposób moim najlepszym przyjacielem. Ma bladą twarz, a oczy na wpół przymknięte.

Kładę buty na podłozdze, rzucam marynarkę Vala na krzesło i biorę ręcznik od Henry'ego. Jest zimny i ciężki.

- Rzygał już? - pytam.

- Tak, po drodze tutaj - odpowiada Emma. - Myślisz, że powinniśmy przyprowadzić doktora Hendersona?

- Nie, tylko będzie zamieszanie. - Sama wiem, co trzeba robić.

Omar robi mi miejsce, a ja przysiadam na łóżku Sinclaira. Zdołał jakoś oprzeć się plecami o ścianę.

- Hej. - Super, on w ogóle nie reaguje. Tylko jęczy cicho, kiedy przyciskam mu mokry ręcznik do czoła. Opiera głowę o moją dłoń. - Ale ty jesteś głupi - mruczę. No bo po co to zrobił? Po co się tak uchlał?

- Wydaje mi się, że on na chwilę stracił przytomność, Tori. - Głos Emmy drży. Rozumiem ją. Kiepsko to wygląda, gdy ktoś widzi coś takiego pierwszy raz, ale jeśli dopilnuje się paru rzeczy, to właściwie nic się nie stanie.

- Skoro zwymiotował, to zaraz będzie mu lepiej. - Przykładam mu palce pod brodę. Głowę ma ciężką, ale jego skóra jest miękka. Kiedy mruga, ściska mnie w żołądku. Oczy ma niebieskie i nieprzytomne. Dostaję gęsiej skórki, kiedy mamrocze moje imię.

- Tak, wariacie - odpowiadam, przykładając mu mokry ręcznik do czoła. - Co to miało być?

- Co?

- To tutaj. Uchlałeś się i zepsuleś kumplom wieczór.

Sinclair opiera głowę o ścianę, a ja poluźniam mu krawat. W ogóle mnie nie usłyszał.

- I tak był gówniany - mruczy.

Czuję lodowaty chłód w palcach. Patrzy na mnie, ale powieki mu opadają. Rozpinam mu górne guziki koszuli i rzucam krawat Henry'emu. Zawiesza go na oparciu krzesła i obejmuję ramieniem Emmę.

- Możecie iść, ja zostanę - oznajmiam.

- Na pewno? - pyta cicho Henry.

- Jeśli będę potrzebować pomocy, to dam znać - obiecuję.

- Będziemy tuż obok - mówi natychmiast Emma.

Aż uśmiecham się pod nosem, choć wcale nie jest mi do śmiechu.

- Wiem.

Henry obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem. Jakby walczył ze sobą. Chce być dobrym przyjacielem, ale jednak odwraca się i wychodzi za Emmą. Gideonowi i Omarowi jakby ulżyło, że mogą wyjść. I nagle zostajemy z Sinclairem sami.

- A dlaczego gówniany? - pytam, gdy zamykają za sobą drzwi.

Sinclair odleciał gdzieś myślami, więc się wzdryga.

- Hm?

- Wieczór - podsuwam. - Dlaczego był gówniany?

- Przez baby - mamrocze. - Zmęczony jestem...

- Wiem, ale przed snem musisz wypić tę wodę.

- Tori... - wzdycha.

- Nie, nie będę z tobą negocjować. Przykro mi, ale powinienś się był zastanowić, zanim zalałeś sobie mózg alkoholem.

Jęczy z udręką, ale bierze ode mnie butelkę. Pijąc, oblewa sobie koszulę, ale nie tak bardzo, jak się spodziewałam.

- Rozbieraj się! - mówię, kiedy dostrzegam na niej ślady wymiocin.

- Jestem pijany - mamrocze.

- No właśnie.

Wstaję i podchodzę do szafy. Sinclair nawet unosi rękę, żeby złapać T-shirt, który mu rzucam, ale trafia obok. Potrzebuje

niemal wieczności, żeby rozpiąć sobie koszulę do końca i ją zdjąć. Kiedy wstaje, żeby ściągnąć też spodnie od garnituru, z trudem powstrzymuję się od zerkania – niestety sposób, w jaki poruszają się jego łopatki i mięśnie pleców, udaremnia moje wysiłki. Wreszcie wkłada koszulkę, a ja korzystam z okazji i odchylam mu kódrę. Musi się mnie złapać za ramię. Wzdrygam się przestraszona, kiedy chwieje się do przodu, a ja nagle czuję cały jego ciężar. Czasem zapominam, że jest prawie o głowę ode mnie wyższy. I to się zmieniło całkiem nagle. Przed wakacjami pod koniec dziewiątej klasy byliśmy niemal tego samego wzrostu, a w Nowy Rok w dziesiątej mógł już podeprzeć podbródek o czubek mojej głowy, kiedy objął mnie od tyłu na tamtej imprezie w Edynburgu.

Czuję pod palcami ramię Sinclaira, kiedy go podtrzymuję. Robi mi się sucho w ustach. Skąd on nagle wytrzasnął te wszystkie mięśnie?

Popycham go z powrotem na łóżko i stoję między jego nogami. Chyba kręci mu się w głowie i musi się czegoś przytrzymać, bo czuję nagle jego dłonie z tyłu ud. Jego gorące dłonie przez cienki materiał sukienki, którą dla mnie wybrał, i nagle ogarnia mnie pragnienie, żeby mnie rozebrał. Kiedy podnosi na mnie wzrok, coś łaskocze mnie w żołądku. Jasne włosy opadają mu na czoło. Jak on to robi, że jest kompletnie pijany, a i tak wygląda bezwstydnie seksy? Drgają mu mięśnie żuchwy, kiedy przelyka ślinę. Opuszkami palców gładzi moje nogi, a potem zabiera ręce. Serce tłucze mi się w piersi. Nie muszę mu mówić, żeby się położył, na szczęście sam na to wpada.

– No i jak to jest? – pyta, kiedy się odwracam, żeby wrzucić jego ubrania do kosza na pranie.

– Co?

– Zwrócić na siebie uwagę osoby, którą chcesz całować... – Wydaje się zmęczony, słowa, które wypowiada, zlewają się. – Pewnie ekstra uczucie.

Nagle robi mi się zimno.

O czym on mówi? O Valu?

A o kim innym, Tori?

Ale dlaczego to brzmi jak wyrzut? Przecież jemu wszystko jedno, kogo całuję, a kogo nie. Sinclair miał setki okazji, żeby być na miejscu Vala. Serio, może nawet więcej. Nie wiem już nawet, kiedy przestałam liczyć. Setki, tysiące okazji i nie wykorzystał ani jednej.

Na szczęście on chyba nie oczekuje odpowiedzi. Jest na to zbyt pijany. Pewnie zapomniał o swoich słowach zaraz po tym, jak je wypowiedział. Ale ja nie. Opada z zamkniętymi oczami na poduszkę. Jak on może tak po prostu zasnąć?

Przez chwilę stoję niezdecydowana pośrodku pokoju. Najchętniej wycofałabym się stamtąd, ale niestety obiecałam Henry'emu i reszcie, że tu zostanę.

Tłumię westchnienie. Uświadamiam sobie, że stoję boso i w długiej wieczorowej sukni w pokoju mojego pijanego najlepszego przyjaciela. Podczas balu noworocznego. Wow.

A mimo to nie wiadomo dlaczego cieszy mnie, że rozbiore się w pokoju Sinclaira, a nie Vala.

Sinclair unosi powieki.

- Zamknij oczy - nakazuję mu, szukając dłonią suwaka. Na szczęście jest z boku, więc nie potrzebuję pomocy.

- Nie patrzę - mruczy Sinclair. Powieki ma ciężkie, opadają mu. - A nawet gdyby... To przecież wiem, jak wyglądasz nago.

- Może to dla ciebie nowina, ale ciało dwunastolatki to nie to samo co siedemnastolatki.

- Miałaś trzynaście lat - mamrocze.

Cholera, ma rację. Było ciemno, kiedy w siódmej klasie poszliśmy się kąpać w jeziorze koło Ebrington. Owszem, bez bieleziny. Ale na pewno nic nie było widać.

Okno u Sinclaira jest uchylone, delikatny podmuch wiatru muska mi ramiona, kiedy zsuwam suknię. Opada na ziemię. Nie włożyłam pod nią biustonosza, bo ma na plecach głębokie wycięcie i jest tak dopasowana z przodu, że wszystko

trzymam na miejscu. Wychodzę z kupki materiału i przechodzę po deskach podłogi do szafy, żeby wyjąć jeszcze jeden T-shirt Sinclaira. To ten z maratonu charytatywnego z zeszłego lata. Sięga mi do połowy ud.

– Okej – mówię i odwracam się w kierunku łóżka.

Sinclair nie reaguje. Leży na plecach, głowa osunęła mu się w bok. W stronę ściany. Przypominające kształtem serce usta są lekko rozchylone, a jego pierś unosi się i opada w równomiernym tempie.

Cóż, to chyba rzeczywiście nie patrzył. I dobrze.

Przytłacza mnie ta dziwna cisza, kiedy przechodzę do małej łazienki i zmywam sobie makijaż z twarzy jego żelem pod prysznic. Oczy mnie pieką, kiedy usuwam tusz do rzęs przy pomocy mydła. Płuczę zęby jego wodą do płukania ust, co musi wystarczyć, i piję lodowatą wodę z kranu ze złożonych dłoni. Kiedy się prostuję, patrzę w lustrze w swoje zaczerwienione i zmęczone oczy. Na szczęście w szafce znajduję jedną ze swoich gumek, które zawsze wszędzie zostawiam. Gdy Sinclair ma tak długie włosy jak teraz, też czasem związuje je w mały koczek. Mam słabość do tej fryzury, ale nie musi tego wiedzieć. Sprawnie związuję swoje długie, miedziane włosy w kok. Gdy śpię z nim w jednym łóżku, zwykle przygniata mi je w którymś momencie, co bywa bardzo bolesne.

Kiedy wracam do pokoju, Sinclair nadal ma zamknięte oczy. Kosz na śmieci z łazienki stawiam na wszelki wypadek przy głowach łóżka. Nigdy nie wiadomo. A potem gramolę się przez jego śpiące ciało. Wzdryga się, kiedy wciskam się między niego i ścianę.

– Hm? – Mruga oczami.

– Przesuń się, kurczaczku.

Popycham go lekko w kierunku krawędzi. Nigdy nie przestanę go tak nazywać. Nie po tym, jak w piątej klasie podczas wycieczki do gospodarstwa ekologicznego w Highbourne dostał paniki na widok biegających luzem kur.

- Spadnę – jęczy.
- Nie spadniesz, przytrzymam cię. Ale nie chcę być na twojej drodze, gdy zaczniesz wymiotować. Obok masz kosz.
- Nie potrzebuję – mruczy. Przesuwa się pół centymetra w bok, a potem jego ciało znów robi się ciężkie. Żeby go przytrzymać, jak obiecałam, przewracam się na bok i obejmuję go ramieniem. Natychmiast chwytą mnie za nadgarstek i przyciska moją dłoń do swojej piersi.
- Niedobrze ci? – pytam, gdy cichutko jęczy.
- Nie wiem... Łóżko się kołysze.
- Przyciągam go ciut bliżej siebie.
- Śpij już. Jestem tu, jakby co.
- Victorio – mamrocze po chwili. Ależ on jest pijany. Nigdy nie używa mojego pełnego imienia.
- Charles? – Podobnie jak ja jego. Smakuje jakoś obco. Dziwnie, ale nie nieprzyjemnie. Nikt w szkole tak go nie nazywa. No dobrze, oprócz nauczycieli i jego mamy. A brzmi tak miękko. Charles. Hm...
- Wzdycha i opiera się o mnie mocniej.
- Ładnie pachniesz.
- Znowu to zdradzieckie laskotanie w żołądku.
- Bardzo mi przykro, ale dziś wyjątkowo nie mogę tego samego powiedzieć o tobie.
- Mam wziąć prysznic? – Próbuje się wyswobodzić, ale zaraz się poddaje. Jego mięśnie rozluźniają się, kiedy znów leży przy mnie.
- Nie, nie potrzebuję dodatkowego dramatyzmu, jak się przewrócisz w kabinie.
- Nie przewrócę się.
- Nawet siedzieć nie dajesz rady.
- Już mi się tak nie kręci w głowie.
- Poczekaj, aż zamkniesz oczy.
- Jęczy z udręką, kiedy to robi.

Unoszę podbródek. Włosy Sinclaira nie cuchną dymem. Ale to nic dziwnego. Przecież nie palił przez cały wieczór z kumplami jak Val.

Sinclair nic już nie mówi. Zamykam oczy. Gdybym się jeszcze trochę pochyliła, mogłabym wsunąć nos w jego włosy...

– Tori? – Jego głos jest cichy.

– Tak?

– Jesteś zadobradlatakiegokogośjakon. – Słowa lepią się niczym guma do żucia na ciężkim języku. Sinclair połyka końcówkę zdania, ale i tak rozumiem. Niestety.

Czuję nagle chłód. Nie ruszam się i nie odpowiadam. Jeśli to po prostu zignoruję, to będzie tak, jakby Sinclair nic nie powiedział. Bo nie powiedział. To tylko jego zamglony umysł. Ale podobno pijani i dzieci zawsze mówią prawdę.

Sinclair wdycha zmęczony, a ten dźwięk trafia mnie prosto w podbrzusze. Głęboki, pełen odprężenia szum. Czuję leciutkie drżenie, które przechodzi przez jego ciało, jak zawsze, kiedy zasypia. Głowa opada mu, ale nie wypuszcza mojej ręki.

Na szczęście nie słyszy mojego pełnego frustracji jęku.

ROZDZIAŁ 3

Victoria

Moja komórka mało nie pęka od nieprzeczytanych wiadomości, kiedy następnego ranka wymykam się z pokoju Sinclaira. Nie budzi się, kiedy się po nim gramolę, a potem wkładam jego dresy. Unikam patrzenia w jego kierunku, kiedy zbieram sukienkę, marynarkę Vala i swoje buty. A potem jak najciszej zamykam za sobą drzwi.

W całym internacie jest cicho, gdy biegnę boso przez korytarz. Niezauważona docieram do zachodniego skrzydła, otwieram drzwi swojego pokoju i siadam na łóżku. Wtedy odczytuję wiadomości.

V: Masz moją marynarkę?

V: Gdzie ty w ogóle jesteś?

V: Eleonor mówi, że sobie poszłaś. Serio???

V: Tja, no tak, to super wieczór, dobranoc...

V: Ale chyba nie jesteś u tego kretyna, co?

Valentine ostatni raz napisał tuż po trzeciej, kiedy już dawno spałam. Obok Sinclaira. Może jednak powinnam była uprzedzić Valentine'a, a nie tak po prostu sobie pójść. Chociaż to wcale nie brzmi tak, jakby się szczególnie martwił. Mógłby przecież zapytać, czy wszystko w porządku.

On cię pocałował, Tori. Wczoraj. To nie był sen, to się naprawdę wydarzyło.

Opadam na łóżko i przykładam dłonie do ust. Opuszkami palców dotykam warg.

Całował mnie. Tak naprawdę. To wtedy z Sinclairem, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, można pominąć. Nigdy też potem nie rozmawialiśmy o tym, co ten pocałunek miał znaczyć. Po prostu go zignorowaliśmy i następnego dnia zachowywaliśmy się tak, jakby się nigdy nie zdarzył. Nie potrafiłabym zliczyć nocy, kiedy leżałam, nie śpiąc, i wyobrażałam sobie, że robimy to jeszcze raz. Ale nie zrobiliśmy. Już nigdy więcej nie pocałowałam mojego najlepszego przyjaciela. On mnie też nie.

Wpatruję się w sufit. No i teraz wczorajszy wieczór. Sinclair był zazdrosny. Miałam takie wrażenie już od początku roku szkolnego, kiedy Val zaczął się nagle mną interesować i zaczęliśmy więcej ze sobą rozmawiać. Najpierw tylko przez Instagram, ale potem też od czasu do czasu na przerwie albo podczas wspólnych dyżurów w szkolnym ogrodzie. Zwykle Sinclair zachowywał się tak, jakby mu to było obojętne, ale wczoraj wieczorem widać było, że nie podoba mu się, że Valentine Ward mnie całuje. Oczywiście nic nie powiedział. Poza tymi zaskakującymi słowami potem w łóżku. To było dziwne. Ale był pijany. Sam nie wiedział, co mówi.

Jesteś za dobra dla kogoś takiego jak on.

A co on może wiedzieć. Val jest cudowny. Ma swoje wady, ale rozumie mnie. Wie, jak to jest należeć do rodziny, która wiele od nas oczekuje. Wydaje mi się, że Wardowie byliby jeszcze bardziej zadowoleni niż moi rodzice, gdyby coś nam z Valentinem rzeczywiście wyszło. A dlaczego nie? Lubię go.

Jest uważny i pełen pasji. Szczególnie wtedy, gdy jesteśmy tylko we dwoje, swoim kumplom raczej tego nie pokazuje. Na ich oczach nigdy nie dotknąłby mnie tak, jak robi to Sinclair. Tak niewymuszenie i... czule. Tyle, że Sinclair i ja znamy się od tak dawna. Tego się nie da porównać. Robi tak, bo oboje wiemy, że to nic nie znaczy. Z Valentinem jeszcze parę miesięcy temu prawie nie miałam kontaktu. To coś nowego i ekscytującego. A poza tym schlebia mi, że ktoś taki, jak Valentine Ward z dwunastej klasy się mną zainteresował. Dość już czasu zmarnowałam, czekając, aż mój najlepszy przyjaciel podejmie inicjatywę.

Przyciągam poduszkę w kształcie awokado, obejmuję ją i przytulam do piersi.

No i jak to jest zwrócić na siebie uwagę osoby, którą chcesz całować?

Dlaczego Sinclair mówi takie rzeczy? Miał tysiąc okazji, żeby mnie pocałować. I z żadnej nie skorzystał. Nawet tamten pocałunek w siódmej klasie był z mojej inicjatywy. Może nie dał mi kosza, ale ani nie odwzajemnij pocałunku, ani nigdy o tym nawet nie wspomniał. Nie mam zamiaru się przed nim skompromitować, przypominając mu o tym. To było upokarzające. I stanowiło jednoznaczną odpowiedź, że nasz związek jest czysto platoniczny. Nic się z tym nie zrobi.

Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i być może Sinclair jest najważniejszą osobą w moim życiu. Chyba z nim najlepiej się bawię. Jest wyrozumiały, to moja pokrewna dusza. A poza tym jest bezwstydnie przystojny. Ale to wszystko jeszcze nie oznacza, że między nami miałoby coś być. To nie tak, jak z Emmą i Henrym, którzy zobaczyli się pierwszy raz i zapomnieli, jak się nazywają. U nich każdy od razu wyczuwa, jak bardzo się pragną i że to tylko kwestia czasu, kiedy to zrobią.

Ze mną i Sinclairem jest inaczej. Trzymamy się razem od piątej klasy, wszyscy to wiedzą. I zwykle wystarcza poszukać jednego z nas, by zaraz znaleźć to drugie. Sinclair przynależy

do mnie jak piegi na nosie, ale czy jestem w nich śmiertelnie zakochana? No błagam... W nim też nie jestem zakochana.

Okej, może nie śmiertelnie, tylko może odrobinę, ale to nie ma żadnych perspektyw. Gdyby odwzajemniał moje uczucia, to już dawno bylibyśmy razem. Znamy się ponad sześć lat, a Sinclair nigdy nawet nie podjął jakiegó próby w tym kierunku. To ewidentne, że nic się nie wydarzy, skoro możemy spać obok siebie w łózkú. No dobra, jest mi coraz trudniej się odprężyć, bo za bardzo jestem świadoma ciężaru jego ciepłego ciała tuż obok, ale to tylko hormony. Gdy jesteśmy razem i on mnie obejmuje, kiedy śmieję się aż do bólu brzucha, to coś się ze mną dzieje. Ale Sinclair lubi kontakt fizyczny. W nocy w piekarni jego ojca albo na imprezach o północy właściwie ciągle mnie dotyka. Jakby przelotnie. Muska moją rękę, kładzie mi dłoń na kolanie albo masuje mi ramiona, gdy robimy przerwę w ugniataniu ciasta, a ja przysypiam. Dla niego to nic nie znaczy.

I dla mnie też nie. W końcu jestem zakochana w Valentinie Wardzie. To prawda. To pierwszy chłopak, który jednoznacznie dał mi do zrozumienia, że jestem w jego oczach atrakcyjna. I to mi się podoba. Nawet jeśli czasem czuję się tym przytłoczona, ale przecież nie mam takiego doświadczenia jak Val.

Może ta moja nerwowość, kiedy jesteśmy we dwoje, bierze się stąd, że czuję, że Sinclair nas obserwuje. Nie pasuje mu to, ile czasu spędzam z Valem. Sinclair niby nic nie mówi, ale nie musi. Wadą bycia pokrewnymi duszami jest to, że wyczuwa się emocje drugiej osoby, które chętnie by się zignorowało. I ja nie potrafię ignorować tego, co dzieje się z Sinclairem. Między nami jest napięcie i to moja wina. A przecież mogę robić, co chcę. Kiedy Sinclair w ósmej klasie nagle zaczął się czerwieniç, gdy tylko Eleanor Attenborough pojawiała się na korytarzu, to przecież nic nie mówiłam. Zacisnęłam tylko kciuki, kiedy spiknęła się z Louisem ze swojej klasy i niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Choć tylko przejściowo, bo

długo parą nie byli. Na szczęście Eleanor potem też nie zaczęła chodzić z Sinclairem. No niby jak? Musiałby ją przecież zagadać, a to, jak wiadomo, nie jest jego mocna strona. Wydaje mi się, że i tak niezbyt by do siebie nie pasowali. Ogarnęło mnie wtedy irracjonalne poczucie własności i to samo dzieje się teraz z Sinclairem. Zawsze będę jego najlepszą przyjaciółką, bez względu na to, co wydarzy się z Valem, no ale kto się lubi dzielić swoją pokrewną duszą?

Przekręcam się na bok. Tylko co, jeśli Sinclair chciał wczoraj w nocy powiedzieć coś, czego na trzeźwo nigdy by się nie odważył? I dlaczego ściska mnie w żołądku z emocji, gdy o tym pomyślę? Kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to Sinclair całuje mnie zamiast Vala z tą niespodziewaną stanowczością, to nawet na leżąco uginają się pode mną kolana. Świat by eksplodował, gdyby nasze usta jeszcze raz się spotkały. I może dlatego to się nigdy nie wydarzy. To byłoby zbyt niebezpieczne dla nas wszystkich.

Jest wcześnie rano, ale jest weekend, co oznacza, że nie muszę wstawać ani na koszmarną poranną przebieżkę, ani na lekcje, ale i tak nie udaje mi się już zasnąć. Galopujące w głowie myśli nie dają mi usnąć. Wirują, nie zostawiają mnie w spokoju, nawet gdy sięgam po najnowszą książkę. Hope MacKenzie to moja ulubiona autorka. Kilka dni temu specjalnie pojechałam do Edynburga, żeby odebrać w księgarni Waterstones podpisany egzemplarz jej najnowszej powieści, który zamówiłam wiele miesięcy temu. Książka zaczyna się jak zwykle wspaniale, lecz moje myśli uciekają już po paru liniijkach.

Powinłam odpowiedzieć Valowi, przeprosić go i oddać mu marynarkę. Powinłam zapytać rodziców, co z tą kolacją u Wardów. Powinłam skonfrontować mojego najlepszego przyjaciela z tym, co powiedział zeszłej nocy. I jeśli mam być szczerą, wcale nie mam na to wszystko ochoty.

Charles

Ludzie, ale się schlałem. Nawet nie wiem co to było, ale dudniący ból głowy i obrzydliwy smak w ustach wskazują, że było tego sporo. Całą cholerną sobotę spędzam w łóżku, starając się nie rzygać. Koszmar.

Henry przynosi mi ciasto z jadalni, ale niestety przewraca mi się w żołądku na samą myśl o jedzeniu. Plusem jest to, że gdy w poniedziałek wczesnym rankiem siedzę na apelu w pełnym rynsztunku, nie pamiętam żadnych szczegółów. Mama stoi przy pulpicie z przodu, mówi o udanym balu, a potem ruga ósmoklasistów, którzy byli na tyle głupi, że dali się przyłapać z alkoholem. Czyli jest jak co roku.

Tori siedzi parę krzeseł dalej, ale bez przerwy patrzy na Valentine'a Warda, który wygląda mniej więcej tak paskudnie, jak ja się czuję. Nie widziałem Tori od balu, ale wyczuwam między nami jakieś napięcie. To dziwne, unika mojego wzroku albo mi się wydaje. A może tylko jest zmęczona. Albo w sobotni wieczór palnąłem coś głupiego. Muszę zapytać ją po apelu, czy wszystko okej. Ogólnie fajnie byłoby znowu z nią pogadać. Prawie się już nie widzimy. To znaczy jak na nasze relacje. Oczywiście codziennie spotykamy się na korytarzu albo na lekcjach, ale na przerwach ona coraz częściej przebywa z Valentinem i innymi dwunastoklasistami. Są teraz parą czy tylko się obściskiwali na balu? Tak bez zobowiązań. To by do Tori nie pasowało, ale czy mnie ktoś pyta o zdanie?

Victoria Belhaven-Wynford i Valentine Ward. Cholera, dlaczego to brzmi jak w jakiejś kiczowatej bajce? Mogliby dać dzieciom na imię Valerie i Vincent. Obrzydliwe małe bachory. Nie cierpię tego wszystkiego i boli mnie głowa.

Victoria Belhaven-Wynford i Charles Sinclair. Tutaj nic nie pasuje. Nie ma nawet podobnej melodii w naszych imionach. Tori i Sinclair. Victoria i Charles. Obie wersje do kitu. Co ja sobie wyobrażam? Ona jest z Belhaven-Wynfordów, a ja jestem

synem piekarza. Owszem, nasze rodziny są na tyle nowoczesne, że pozwalają nam wierzyć, że odmienne pochodzenie nie stanowiłoby problemu. Rodzice Tori nigdy nie dali im odczuć, że nie jestem dość dobry dla ich córki, kiedy odwiedzaliśmy ich w weekendy albo spędzaliśmy wakacje w ich willi na południu Francji. Powiedziałbym nawet, że Charlotte i George Belhaven-Wynford mnie lubią. Ale nie jestem tym, czego życzą sobie dla swojej córki. Nie, skoro istnieje ktoś taki jak zastrany Valentine, którego rodzina obraca się w tych samych kręgach co Belhavenowie i który ma Tori coś do zaoferowania.

Staram się ciągle na nią nie zerkać. Skupiam uwagę uczniach i uczennicach w rzędach przede mną. Jak co poniedziałek na porannym apelu mają na sobie granatowe mundurki. W pozostałe dni wystarczy zwykły szkolny strój, czyli koszulki polo, bluzy i spodnie. Rzucam okiem przez ramię, bo pani Kelleher ochrzania Ellie z dziesiątej klasy za to, że ona i jej koleżanki mają na sobie spodnie, a nie plisowane spódniczki, a potem ucisza najmłodszych w tylnym rzędzie. Piątoklasiści zawsze się niecierpliwią, kiedy jest tyle do omówienia, co dziś rano. Wydaje mi się, że mama zaraz zakończy apel, ale ona porusza kolejny temat.

– Zanim puszcze was na śniadanie, kółko teatralne klasy maturalnej chciałoby coś ogłosić – wyjaśnia i odchodzi od pulpitu.

Z pierwszego rzędu wstają Louis Thompson i Eleanor Attenborough i wchodzi pod schodkach.

– Dzień dobry, dziękuję, pani dyrektor.

Eleanor krzywi się lekko, bo jej głos rozbrzmiewa w sali zbyt głośno, ponieważ za bardzo zbliżyła usta do mikrofonu. Mi-mowolnie się uśmiecham. Czuję na sobie czyjeś palące spojrzenie. Odwracam się w bok. Tori przenosi wzrok do przodu i zakłada nogę na nogę.

– Jak wiecie, przed wakacjami zaprezentujemy nasze coroczne przedstawienie – mówi Eleanor. Zmuszam się, żeby z powrotem skupić na niej uwagę. – Zwykle obsadę wybieramy

tylko z ostatniej klasy, ale w tym roku niestety mieliśmy za mało zgłoszeń. – Eleanor ignoruje chichot, który bez wątpienia dochodzi z kąta, gdzie siedzi Val i jego przyboczni. Słyszałem, że to wręcz jego wina, że prawie żaden chłopak nie chce brać udziału w zajęciach kółka teatralnego. Kto chce grać w drużynie rugby Vala, najwyraźniej nie może mieć żadnych innych zainteresowań. A w dwunastej klasie w drużynie chce być prawie każdy. – I dlatego po rozmowie z panem Acevedo postanowiliśmy, że w przyszłą środę zorganizujemy casting także dla dziesiątej i jedenastej klasy – kontynuuje Eleanor.

Cichy pomruk przechodzi przez salę niczym fala. Dziesiąto- i jedenastoklasiści wpatrują się w Eleanor, a dziewiątoklasiści prychną rozczarowani. Od razu zerkam na Tori. Wiem, że od dawna zastanawia się nad wstąpieniem do kółka i obawiam się, że nie zrobiła tego dotąd tylko dlatego, żeby nie spotykać się z Eleanor. Rozchyła usta i wydaje się zaintrygowana. Dopóki jej wzrok nie pada na Valentine’a, który dalej się śmieje i potrząsa dobrotliwie głową, krzyżując na piersi ramiona. Jego kumple od rugby też się śmieją. Tak łatwo ich przejrzeć. Jestem pewien, że niektórzy z nich poszliby na casting, gdyby Valentine ciągle nie nabijał się z kółka teatralnego. Może i uważa teatr za głupotę, ale tak szczerze to wygląda raczej na to, że chce za wszelką cenę dokuczyć Eleanor, królowej kółka, bo uraziła jego cholerną dumę, rzucając go zeszłego lata.

– A teraz, uwaga, niespodzianka: będziemy wystawiać *Romeo i Julię* – głos przejmuje Louis. Niektórzy z dziesiąto- i jedenastoklasistów chichoczą. – Jak co roku, wiem, wiem. Ale obiecuję wam, że ta inscenizacja będzie najfajniejsza ze wszystkich. Zwróćcie się do nas albo do pana Acevedo, jeśli chcecie wziąć udział w castingu, to dostaniecie tekst. – Zerka na Eleanor, która znowu podchodzi do mikrofonu.

– Wcześniejsze doświadczenie się przyda, ale nie jest niezbędne – ogłasza. – O wiele ważniejsze jest, żebyście mieli ochotę grać i byli gotowi poświęcić całą swoją energię na próby

aż do lata. Czyli przyszła środa, piętnasta w sali teatralnej. Wszyscy, którzy chcą wziąć udział w castingu, będą zwolnieni z godziny skupienia. Czekamy na was!

Pan Acevedo wysuwa się do przodu i unosi oba kciuki do góry, a potem zaczyna bić brawo. Dołączam do niego, a potem wstaję. Sale wypełnia harmider, śmiechy i rumor przesuwanich krzeseł. Młodszy pchają się do wyjścia, część dziesiątoklasistów podchodzi do przodu, żeby poczekać na Eleanor, Louisa i pana Acevedo. Tak, jak ja czekałbym na Tori. Teoretycznie. Bo w praktyce ona jest już w środkowym przejściu, a ja nie zdołam ominąć tych, którzy zablokowali nasz rząd. Tori już kieruje się do Vala. Choć ten wygląda na skwaszonego, całuje ją i obejmuje za ramiona. Kilka dziesiątoklasistek przysuwa do siebie głowy i coś szeptaają. Niedobrze mi się robi.

– Uśmiech, przyjacielu – rzuca Henry obok mnie. Miałem go spojrzeniem. Łatwo mu mówić: z Emmą u boku i irtującym związkiem jak z obrazka. Okej, to nie do końca prawda. Trochę to potrwało, zanim się wreszcie zeszedli. A potem też było ciężko, kiedy nieoczekiwanie zmarła siostra Henry’ego. Kompletnie wytrąciło go to z równowagi i nawet teraz, prawie pięć miesięcy po jej śmierci, nadal są dni, kiedy sprawia wrażenie, jakby nie był sobą. Ale jest lepiej. Szczególnie odkąd regularnie chodzi do pani Vail, szkolnej psycholog. Cieszę się z tego, bo czuję, jakbym odzyskiwał najlepszego przyjaciela, ale nie jestem na tyle naiwny, żeby sądzić, że wszystko stanie się łatwiejsze do zniesienia tylko dlatego, że wydaje się, że Henry daje sobie radę.

Postanawiam skorzystać z okazji.

– Czy ja powiedziałem w sobotę wieczorem coś głupiego? – pytam szybko.

– To znaczy? – odpowiada wymijająco Henry, co nie wróży nic dobrego.

– Nie wiem, wygląda na to, że urwał mi się film – przyznaję. – A Tori... Ona przy tym była, prawda?

– Spała u ciebie – mówi Henry.

Najpierw robi mi się zimno, a zaraz potem gorąco. Ten cholerny alkohol. Nic nie pamiętam.

To nie pierwszy raz, gdy spaliśmy z Tori w jednym łóżku, ale od jakiegoś czasu to się już nie zdarzało. I brakuje mi jej. Cholera, tak. Nikt nie przytula tak, jak Tori. Mogę to spokojnie przyznać.

Tyle że najwyraźniej teraz to Val jest tym, który z tego korzysta. O ile w ogóle się przytulają. Zapewne robią coś całkiem innego, kiedy ona jest u niego... Stop, nie myśl o tym więcej.

– Ach tak. – Przelykam ślinę. – Kiedy się obudziłem, nikt nie było.

– Pewnie wyszła wcześniej, żebyście nie mieli kłopotów.

Kiwam głową.

A może chciała uniknąć konieczności rozmowy ze mną. Albo poszła piętro wyżej. Do Valentine'a. Nie mogę znieść tej myśli.

Tori przesuwa po mnie spojrzeniem, kiedy z Valentinem, Neilem i paroma innymi dwunastoklasistami opuszcza salę. Odwraca się, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.